DYRYGOWANIE
Sprawa życia i śmierci

Antoni Wit

w rozmowie z Agnieszką Malatyńską-Stankiewicz

DYRYGOWANIE
Sprawa życia i śmierci

Antoni Wit

w rozmowie z Agnieszką Malatyńską-Stankiewicz

CZY
TEL
NIK

SPIS TREŚCI

Wstęp 7

Kraków 9

Studia 39

Pierwsze kroki zawodowo 59

Między Henrykiem Czyżem a Witoldem Rowickim 85

Konkursy 105

Pierwsze stanowisko kierownicze 131

WOSPRiTV (NOSPR) 153

Filharmonia Narodowa 175

Nagrania, polska muzyka 199

Pedagog 221

Wyjazdy zagraniczne 257

Orkiestry 277

Japonia, moja miłość 311

Kompozytorzy 329

Soliści, dyrygenci 351

Życie prywatne 383

Finał 403

Podziękowania 430

Indeks 434

Źródła zdjęć 439

Nad napisaniem książki o swoim bogatym życiu – samodzielnie lub przy czyjejś pomocy – myślałem od dawna. Wiele osób mnie do tego namawiało: „Koniecznie, napisz, takie masz ciekawe życie, a to wszystko umyka". Czytałem także sporo wspomnień o znanych mi osobach. W tych wspomnieniach często pojawiają się wydarzenia doskonale mi znane, lecz dziwnie przeinaczone. To bywa denerwujące i budzi moją niechęć. Wiele z tych historii jest podkoloryzowanych czy wręcz przedstawianych nieprawdziwie. Naturalnie, każdy człowiek chce przedstawić siebie i swoje dokonania w lepszym świetle, niż na to zasługują, ale przyznam się, że przed pisaniem o sobie powstrzymywało mnie to, że nie chciałbym mieć na koncie takiej książki. Książka o moim życiu musi być prawdziwa i szczera, choćby nawet miała zawierać fakty czy sprawy, z których nie jestem dumny. Co więcej, może się zdarzyć, że wyrażę w niej nie najlepsze opinie o innych osobach – żyjących czy nieżyjących. Pewne sprawy mogę pominąć, ale niektóre postawy ludzkie pozostawię osądowi Czytelnika. Muszę mówić i pisać tylko prawdę, choć postaram się, żeby nie była powiedziana w sposób drastyczny. Myślę, że dojrzałem już do podsumowania swojego życia.

Na samodzielne pisanie książki nie mam ochoty ani czasu, gdyż nadal prowadzę intensywną działalność dyrygencką. Wobec tego zdecydowałem się zaprosić do współpracy panią Agnieszkę Malatyńską-Stankiewicz, której dokonania dziennikarskie, redaktorskie i organizacyjne znam i cenię od dawna. Jestem bardzo zadowolony z naszej współpracy, a mam też nadzieję, że powstała lektura, która będzie interesująca nie tylko dla osób ze świata muzycznego. Do jakiego stopnia to się nam udało – oceńcie Państwo sami.

W tym miejscu pragnę podziękować także Zosi – mojej Żonie – za współpracę, dzięki której mogłem lepiej czy dokładniej przedstawić różne fakty i która w pewnych wypadkach powstrzymała mnie od zbytniej rozwlekłości, czyli podawania informacji niekoniecznie interesujących osoby spoza mojego środowiska, a także stonowała niektóre moje nieco zbyt ostre sformułowania.

KRAKÓW

Zgaś światło, dziadziu idzie!

Co dziś dla pana znaczy Kraków?

Kraków to mój świat. Miasto niezwykle mi bliskie od zawsze – i tak już pewnie pozostanie. Urodziłem się w Krakowie i mimo że mieszkałem w różnych miastach Polski, a obecnie mieszkam w Piasecznie koło Warszawy, wszystko, co dzieje się w Krakowie, jest dla mnie najbardziej interesujące. Jestem czytelnikiem „Gazety Wyborczej" i gdy czytam w Warszawie jej dodatek lokalny, przerzucam go bez specjalnego zainteresowania. Ale krakowski dodatek tej samej gazety czytam zawsze dokładnie. Problemy tego miasta przemawiają do mojej wyobraźni. Nasiąknąłem atmosferą krakowską, ona mi się zawsze bardzo podobała, chociaż oczywiście można z niej pokpiwać.

Na przykład z czego?

Kraków jest wspaniały, jeśli chodzi o życie towarzyskie, natomiast nie jest najlepszy do pracy. Nadal panuje tam atmosfera „austriacka", choć nie wiem, czy to słuszne określenie, bo w rzeczywistości to raczej połączenie plotkarstwa z hipokryzją. To, niestety, jest ciągle obecne. Nie zdawałem sobie z tego sprawy, dopóki nie zacząłem pracować w Katowicach. Wtedy spostrzegłem, że jest olbrzymia różnica mentalna między mieszkańcami Krakowa i Śląska.

To są dwa zupełnie różne światy, mimo że tak blisko położone. Poza tym we współczesnym Krakowie denerwuje mnie ruch, hałas, ciasnota, korki, brak miejsc do parkowania itd. Drażnią mnie częste imprezy na Rynku z muzyką najgorszego rodzaju. Ubolewam, że do tej pory nie powstała i pewnie już nie powstanie sala filharmoniczna. Inne miasta takie sale mają, a Kraków – nie. To przykre. Kocham Kraków, ale gdy zaproponowano mi pracę w Katowicach, to się tam przeprowadziłem.

Dlaczego? Przecież to raptem siedemdziesiąt kilometrów. Można było dojeżdżać.

Wiele osób tak mi doradzało, ale ja uważałem, że trzeba się przeprowadzić. Żeby pokazać, że się poważnie potraktowało ten znakomity zespół i pracę. Mimo że w Krakowie mieliśmy z żoną mieszkanie, a niedaleko, czterdzieści kilometrów od Krakowa, letni domek w miejscowości Poręba. Gdy później przenieśliśmy się do Warszawy, ten domek już był dla nas za daleko i moja żona doprowadziła do wybudowania domu w gminie Mogilany.

Czyli tuż pod Krakowem.

Jak widać, Kraków ciągle jest mi bliski. Chociaż prawie za każdym przyjazdem okazuje się, że kolejni znajomi zmarli, a osoby, które mieszkały w centrum, już tam nie mieszkają. Sporo się zmienia, ale jak poruszam się w obrębie Plant po Krakowie, to co druga kamienica budzi we mnie wspomnienia. To nie są dla mnie anonimowe budynki. Choćby dlatego, że tu byłem u kolegi, tu kupowałem papier nutowy, tam był sklep filatelistyczny, w którym zaopatrywałem się w znaczki, a tu mieściła się ważna dla mnie instytucja, na przykład komenda milicji, gdzie odbierałem paszport. Gdzieś były świetne lody i ciastka, a pod inną kamienicą pierwszy raz pocałowałem dziewczynę. Mam emocjonalny stosunek do Krakowa. I bardzo sobie cenię to, że dyrektor Bogdan Tosza zaproponował mi, abym został dyrygentem honorowym Filharmonii Krakowskiej. Daje mi to ogromnie dużo satysfakcji.

Panie profesorze, jakie jest pana pierwsze wspomnienie z Krakowa?

Mój dom, w którym się urodziłem i wychowałem. To kamienica przy ulicy Siennej 14, na pierwszym piętrze. Znajduje się ona w obrębie krakowskich

Plant, niedaleko Rynku. To jedyna przy całej tej ulicy kamienica z balkonem, który właśnie należał do naszego mieszkania. Kiedy jestem w Krakowie, bardzo często idę ją zobaczyć. Kamienica od ponad dwudziestu lat – albo i dłużej – stoi zupełnie opuszczona, nic się tam nie dzieje, po prostu marnieje, choć ostatnio zaczął się dość poważny remont. To był mój dom i przykro mi z tego powodu, bo przecież całe śródmieście na ogół wygląda wspaniale.

A nie myślał pan o tym, żeby wykupić to mieszkanie i zamieszkać na Siennej?

Proszę sobie wyobrazić, że miałem takie marzenie, ale stosunki własnościowe tej kamienicy były skomplikowane i nieuregulowane. Nadto teraz to mieszkanie jest jednak zbyt mało komfortowe. Myślałem więc o tym, ale tylko w sferze irracjonalnych pragnień. Gdy przychodzę do bufetu Akademii Muzycznej, który znajduje się na szóstym piętrze i skąd jest piękny widok na Kraków, to z przyjemnością patrzę na moją kamienicę. Oczywiście widać ją od tyłu, ale i tak jest miło popatrzeć. Przyznam się, że jeżeli śni mi się jakieś mieszkanie, to zawsze to na ulicy Siennej. Gdy tam mieszkałem, czułem się takim dobrym, wręcz prawdziwym krakowianinem, bo kamienica mieściła się w obrębie Plant. A gdy ktoś mieszkał na przykład na ulicy Karmelickiej czy na Krowodrzy, starzy krakusi uważali, że to prawie poza miastem.

Choć to ścisłe centrum Krakowa.

Tak, ale poza obrębem Plant. W dzieciństwie lubiłem się oddawać licznym marzeniom. Jedno z nich dotyczyło tego, aby być strażakiem na wieży Mariackiej. Wyobrażałem sobie, co bym tam robił przez dwadzieścia cztery godziny w przerwach między trąbieniem.

No tak… skoro mieszkał pan na Siennej, co godzinę słyszał pan hejnał.

To prawda. Ta melodia odmierzała mi dzieciństwo i młodość. W kamienicy całe pierwsze piętro to było olbrzymie mieszkanie. Moja rodzina zajmowała jego połowę, bo w dawnych czasach takie wielkie mieszkania często były dzielone na dwie części albo nawet na więcej. Między nami a sąsiadami były tylko zwykłe drzwi wewnętrzne, które dopiero po paru latach zamurowano. Mieszkanie, jak to w starych krakowskich kamienicach: dwa duże pokoje,

duża kuchnia – dość ciemna, bo jej okno wychodziło na oficynę, na podwórko studnię – i dwa przedpokoje. Niestety, nie było pełnej łazienki, ponieważ podczas okupacji ją zdemontowano, aby uniknąć wykwaterowania przez Niemców. Taka była rzeczywistość krakowskich domów. Później, w latach sześćdziesiątych, odtworzono łazienkę w części jednego z przedpokojów.

Wychował się pan w rodzinie wielopokoleniowej?

Tak. Mieszkaliśmy razem: moja mama, jej rodzice, moja starsza siostra i ja. Była z nami jeszcze siostra babci, no i pomoc domowa, która była bardzo ważna, gdyż codziennie przychodziło do nas kilkanaście osób z rodziny na obiad, a ona ten obiad przygotowywała wraz z moją babcią Walerią.

Kto przychodził na obiad?

Dwie siostry mojej mamy wraz z rodzinami. Mieszkała z nami także niania, którą nazywaliśmy Aja. Niania zajmowała się dziećmi, zwłaszcza mną, ponieważ mama pracowała i dziadkowie też pracowali. Wychowywałem się właściwie bez ojca. Mam takie wspomnienie z dzieciństwa, gdy miałem trzy lata, że ktoś mnie niesie na barana. To właśnie był mój ojciec. Następnym razem zobaczyłem ojca, gdy miałem czternaście lat, na pogrzebie jego brata, a potem gdy miałem już osiemnaście lat. Pojechałem go odwiedzić do Częstochowy. Wybrałem się z wizytą dwudniową. Mogłem wtedy z ojcem dłużej porozmawiać.

Jak pan dziś ocenia to spotkanie?

Niespecjalnie to przeżywałem i ojciec chyba też nie przeżywał. To była taka wizyta właściwie bez wielkich emocji. Tak mnie tylko dziś zastanawia, że ojciec się w ogóle nie interesował swoimi dziećmi. Owszem, płacił zasądzone alimenty – i to było wszystko. Później dopiero czasem pisał listy do nas, ja go czasem odwiedzałem w Częstochowie, ale rzadko, raz na parę lat. Tak, ten brak zainteresowania ze strony ojca dziwił mnie i teraz też mnie dziwi, ale nigdy nie odczuwałem tego w sensie emocjonalnym. Nigdy. Ojciec był jednym z pierwszych absolwentów Akademii Górniczo-Hutniczej, w dwóch specjalnościach – górnictwo i hutnictwo. Wiem, że pojechał do Szczecina uruchamiać hutę, a potem osiadł w Częstochowie i tam mieszkał do końca życia. I tak się małżeństwo z moją mamą rozpadło.

Od lewej: Jan Wit (ojciec), Piotr Wit (dziadek), Paweł Wit (stryj), Kraków, lata 30. Piotr Wit, który na co dzień mieszkał w Oleszycach, przyjechał do Krakowa by spotkać się z synami: Janem i Pawłem

Odczuwał pan brak ojca?

Nie, nigdy. Na pewno moje wychowanie w związku z tym miało inny przebieg i inny kształt, ale nigdy nie ubolewałem nad tym, że właściwie nie mam ojca. Ojciec pochodził z Oleszyc pod wschodnią granicą. Co ciekawe, jego ojciec i rodzina pisali nazwisko przez dwa „t", ale przyszły czasy polonizacji nazwisk i jedno „t" z nazwiska wypadło. Ale mam kuzynów, którzy nadal piszą nazwisko przez dwa „t". Gdy miałem dwadzieścia jeden lat, stryj namawiał mnie, żebym wrócił do nazwiska przez dwa „t" i nawet złożyliśmy razem wizytę w jakimś stosownym urzędzie, gdzie

powiedziano nam, że zmienić nazwisko można tylko wtedy, gdy jest ono śmieszne czy uwłaczające. Mnie na tym specjalnie nie zależało, już miałem pewne dokumenty na nazwisko z jednym „t" – i tak zostało. Jednak muszę stwierdzić, że był taki okres, gdy wiele osób zaczęło mnie nagle pisać przez dwa „t", zwłaszcza na Śląsku i w Niemczech – i było to dla mnie bardzo nieprzyjemne. Nawet jakieś wydawnictwo encyklopedyczne (co istotne, polskie) napisało moje nazwisko przez dwa „t", ale to już źle świadczy tylko o tym wydawnictwie.

Czy to po dziadku Antonim Surowieckim otrzymał pan imię?

Tak. On był zresztą moim ojcem chrzestnym. Dla mnie dziadek był wielkim autorytetem. Wspaniale, że mogłem wychowywać się obok niego. Dziadek był zasłużonym krakowskim kupcem. Miał jeszcze przed wojną sklep przy ulicy Zwierzynieckiej 23/25. Był to bardzo okazały sklep z artykułami kosmetycznymi i chemicznymi: farby, lakiery, tego typu asortyment. Sklep był czynny w czasie okupacji i nawet po wojnie dziadek zdołał go utrzymać. Bywałem jeszcze w tym sklepie w początkach lat pięćdziesiątych. Później dziadka wykwaterowano do innego lokalu i potem do śmierci prowadził ten interes w suterenie przy ulicy Tarłowskiej 8.

Czyli za rogiem ulicy Zwierzynieckiej.

Dla mnie sporym zaskoczeniem było to, że ten sklep przy Zwierzynieckiej i tę firmę wielu ludzi znało, choć nie mieli świadomości, że jej właścicielem był mój dziadek. Na przykład znany redaktor Polskiego Radia Kraków Jerzy Bresticzker, który mieszkał na Zwierzynieckiej, był wielce zdziwiony, gdy się o tym dowiedział. Było mi bardzo miło, że wypowiadał się o tym sklepie z uznaniem, jak zresztą wszyscy, którzy go pamiętali. Kiedy myślę o mojej rodzinie, to z największym szacunkiem wspominam właśnie mojego dziadzia, bo to był człowiek, dla którego praca i firma były zawsze na pierwszym miejscu. Dla niego największą obrazą czy nieszczęściem byłoby, gdyby klient przyszedł i powiedział: „No, jaką mi pan farbę sprzedał, pomalowałem i zaraz to zeszło". Firma była na pierwszym planie, interes musiał działać bez zarzutu.

W czasach socjalistycznych prywatny interes prowadzić było bardzo trudno.

Na pewno były straszne kłopoty z wydziałami skarbowymi. Na przykład w domu na Siennej przez cały czas musieliśmy płacić za prąd trzy, a później nawet pięć razy drożej niż inni mieszkańcy, z uwagi na to właśnie, że dziadziu prowadził prywatną inicjatywę. Skutek był taki, że on szalenie się denerwował, jeżeli widział, że niepotrzebnie świeci się światło. To mi przekazał. Ja też zawsze gaszę niepotrzebne światło i w pracy tępiłem zużywanie prądu bez potrzeby. Pamiętam z dzieciństwa taką scenę: dziadzio wrócił ze sklepu i usiadł w jakimś niewidocznym miejscu, a lampy świeciły się w całym domu. Ja krzyknąłem do mamy: „Mamo, zgaś światło, bo dziadziu przyszedł" – co oczywiście zainteresowany świetnie usłyszał i bardzo go to zdenerwowało. Usłyszałem komentarz: „Patrzcie, jak to dzieci są wychowywane".

Dziadek wstawał o godzinie szóstej, bo wychodził koło siódmej, kiedy ja jeszcze spałem. Wtedy był taki system pracy, że sklepy były czynne do trzynastej i od piętnastej. W przerwie przychodził na obiad do domu i wracał do sklepu na piętnastą. Później wprowadzono obowiązek pracy handlu przez cały dzień. Wówczas dziadzio wstawał, tak jak wstawał, bo był przyzwyczajony, i wracał do domu o dziewiętnastej. Właściwie dopiero jak był ciężko chory i już dobrze po osiemdziesiątce, to ktoś inny zajmował się sklepem. To jest dla mnie imponujący i właściwy przykład podejścia człowieka do pracy i do firmy, za którą jest odpowiedzialny. Poza tym dziadziu był w młodości zapalonym rowerzystą, członkiem klubu Sokół, i nawet brał udział w wyścigach kolarskich, na przykład na trasie Kraków–Lwów–Kraków. Był także sympatykiem, działaczem, a nawet członkiem zarządu i sponsorem Cracovii. Mnie też przetrwała sympatia do tego klubu, chociaż piłką nożną się nie interesuję, a sportem, w sensie oglądania, też zupełnie nie. Owszem, czym innym jest uprawianie sportu, ale oglądanie to kompletnie nie dla mnie.

Niewiele do tej pory powiedział pan o babci.

Bo też w dzieciństwie autorytetem i wzorem dla mnie był dziadek. Babcia była bardzo rodzinną osobą, bardzo dbała o wszystkich, przejmowała

Antoni Wit z mamą Aldoną i siostrą Małgosią, lata 60. Zdjęcie zrobione w mieszkaniu państwa Witów przy ul. Siennej w Krakowie

się tym, co następowało w rodzinie. Była bardzo pobożna. Myślę, że jej kalendarz w dużym stopniu pokrywał się z kalendarzem kościelnym. Pilnowała wszystkich, scalała całą rodzinę, ale także pracowała, pomagając dziadkowi w sklepie. Pielęgnowała historie rodzinne, a jedną z nich opowiem. Kiedy miałem lat trzy, miał przyjść ksiądz po kolędzie i okazało się, że nie ma w domu wody święconej. Wszyscy się zmartwili i wywiązała się dyskusja, w czasie której wymyślono, że poda się wodę przegotowaną... Wszystko słyszałem i zaledwie ksiądz przyszedł, pobiegłem do niego, krzycząc: „Prosę księdza, woda psegotowana!, psegotowana!" (jak widać, nieco sepleniłem, co mi – zdaje się – zostało...). Ksiądz pogłaskał mnie po główce i powiedział: „Ach, to dobrze, że przygotowana". A ja na to znowu: „Nie, nie, psegotowana!". Ale ksiądz i tak nie zrozumiał i pochwalił nas, że wszystko jest jak trzeba.

Moja mama przed wojną studiowała filologię klasyczną, ale w końcu skończyła farmację. Przed wojną wydawało się, że to będzie dobry zawód, ale po wojnie niestety nie. Mama nawet przez jakiś czas prowadziła prywatny interes, jakąś hurtownię leków, ale to wszystko musiało upaść, bo takie były polityczne dyrektywy. Mama pracowała w różnych aptekach na terenie Krakowa.

Nie lubiła tego?

Przeciwnie, ale ten zawód miał dla niej wielką wadę. Z uwagi na to, że pracowała z różnymi odczynnikami chemicznymi – bo wtedy w aptekach leki przygotowywało się ręcznie, czyli wyrabiało się z różnych składników, co teraz zdarza się bardzo rzadko albo nawet i wcale – mama uwrażliwiła się na mnóstwo substancji. Była bardzo słabego zdrowia, przeżyła siedemdziesiąt sześć lat, ale całe życie zmagała się z różnymi dolegliwościami. No i mieszkanie w tej wcale nie takiej dużej przestrzeni z tyloma osobami nie było dla niej komfortowe. Dopiero po latach się rozluźniło. Ja wyjechałem, siostra wyszła za mąż i się wyprowadziła, dziadkowie zmarli...

Mama została na Siennej?

Mama do śmierci mieszkała na Siennej.

Jak trafił pan do muzyki? Czyja to była decyzja?

Kiedy miałem pięć czy sześć lat, to zauważono, że interesuje mnie wszystko, co wiąże się z muzyką. Na przykład kiedy orkiestra dęta maszerowała ulicą, to ja biegłem, żeby posłuchać. W domu często się tak bawiłem, że wyjmowałem szufladkę z komody i udawałem, że gram na akordeonie, albo brałem dwa patyki i udawałem grę na skrzypcach – zresztą w końcu dostałem małe skrzypeczki. Stąd mama pomyślała, że może trzeba by mnie zacząć uczyć muzyki. W domu było pianino. Zapisano mnie, gdy miałem lat sześć, do eksperymentalnego studia gry na fortepianie przy ulicy Gołębiej, u pani Druszkiewiczowej.

To była słynna w Krakowie szkoła dla małych dzieci. Maluchy tworzyły zespoły i często bawiły się razem, muzykując.

Tak, to prawda. Wspominam zwłaszcza udział w szkolnej orkiestrze perkusyjnej, którą prowadził uwielbiany przez dzieci i przez mnie także znakomity kotlista Filharmonii Krakowskiej – Józef Stojko.

Do dziś pamiętam egzamin, choć nie to, na czym on polegał, ale to, że wyszedłem i powiedziałem do niani, która przyszła ze mną: „Zdałem". Nie wiem, na czym opierałem swoje przekonanie, ale zacząłem się uczyć. W szkole podstawowej poszedłem od razu do drugiej klasy, gdy miałem siedem lat. Tam również zdawałem egzamin wstępny. W moim dzieciństwie w domu panował pogląd, że Antoś ma ciężką wadę serca. Wobec tego w szkole byłem zawsze zwolniony z gimnastyki, uważano, żebym przypadkiem nie biegał, nie męczył się. To miało taki skutek, że jak tylko mogłem się wyrwać spod kurateli niani, biegałem czy też grałem z kolegami w piłkę aż do utraty tchu. Wobec tego zawsze robiono mi wymówki: „No widzisz, ciebie nigdzie nie można puścić".

Pańska rejonowa szkoła podstawowa znajdowała się na placu Matejki. Miał pan stałą trasę do szkoły?

W pewnym sensie tak: szedłem albo ulicą Szpitalną, albo Floriańską. To była dość długa droga jak na stary Kraków. No więc byłem w szkole podstawowej zwolniony z gimnastyki, choć gimnastyka, którą prowadził dyrektor,

polegała głównie na sprawdzaniu, czy chłopcy mają czyste tenisówki i odpowiednie stroje, a do sali gimnastycznej chodziło się oglądać filmy, jak przyjeżdżało kino objazdowe. Również w liceum byłem zwolniony z gimnastyki. W wieku chyba czternastu lat zacząłem mieć jakieś dolegliwości, ale wtedy już były lepsze możliwości diagnostyczne i lekarz, który mnie dokładnie zbadał, stwierdził, że Antoś nie ma żadnej wady serca, ale chorą ślepą kiszkę. Na szczęście do tej pory żyję z tą ślepą kiszką.

Co do serca, powiem, że od chwili, kiedy przekonałem się, że mam zdrowe, ogromnie zaczęły mi się podobać wszelkie zajęcia związane z ruchem, bo jak mówię, nie lubię oglądać sportu, ale bardzo lubię go uprawiać. Niestety, nie ma tego wiele: jeżdżę na rowerze, nawet teraz jeżdżę o wiele więcej niż dawniej, bo mam trochę więcej czasu. Bardzo lubię pływać, regularnie chodzę na basen. Kiedy jestem za granicą, to chodzę w hotelu na siłownię. Muszę się pochwalić, że jak w latach osiemdziesiątych w Katowicach dokładnie mnie przebadano, to stwierdzono, że mam serce sportowca. Parametry doskonałe. Tak się to zmieniło – lub zmieniły się możliwości diagnostyczne. Niestety, żałuję, że bardzo słabo jeżdżę na nartach i nie gram w tenisa. Mam w domu jedynie stół do ping-ponga, ale nie zawsze znajduję partnerów o podobnym poziomie…

W jednym z wywiadów powiedział pan, że wyjątkowo lubił pan matematykę.

Bardzo ją pokochałem i wyjątkowo dobrze mi szła. W podstawówce miałem wybitnych – jak teraz to oceniam – pedagogów. Moim wychowawcą był pan Stanisław Balala, profesor, który był zresztą magistrem matematyki. Kiedy sobie przypominam to, co nam przekazywał, to powiem, że był wręcz wizjonerem. W latach pięćdziesiątych potrafił mówić: „Chłopcy, popatrzcie na mapę świata, hiszpańskim językiem posługują się od Meksyku po Ziemię Ognistą, z wyjątkiem Brazylii. Uczcie się hiszpańskiego". Kto w tamtych czasach myślał o hiszpańskim? To było coś wręcz abstrakcyjnego. W szkole ogólnokształcącej, zarówno podstawowej, jak i średniej, nauczyłem się dobrze nie tylko matematyki, ale także polskiej gramatyki. Uważam, że umiałem ją znakomicie i to głównie dzięki szkole podstawowej. To mi się bardzo przydało

i przydaje w nauce języków obcych. Byłem także dobry z historii, ponieważ przedmiot ten bardzo lubiłem, a w liceum mieliśmy świetną nauczycielkę – Olgę Krzyżanowską.

V Liceum Ogólnokształcące przy ulicy Świerczewskiego, obecnie przy ulicy Studenckiej, to jedna z najsłynniejszych szkół w Krakowie. Ja także jestem absolwentką tej szkoły. Z okazji jubileuszu została wydana publikacja, w której jest pan wymieniony wśród dwudziestu najważniejszych osób, które ukończyły tę szkołę.

Przysłali mi to wydawnictwo. Bardzo mnie to ucieszyło. Miałem w Piątce bardzo wielu wybitnych profesorów, na przykład wspomnianą tu Olgę Krzyżanowską (która była także niezapomnianą naszą wychowawczynią), Bronisławę Małek, Antoniego Bielaka, dyrektora Stanisława Potoczka, Władysława Horbackiego, księdza Zdzisława Krzystyniaka i jeszcze paru innych. O moich profesorach myślę z szacunkiem, ale z mniejszym szacunkiem myślę o szkole jako instytucji.

Dlaczego?

Nie zawsze uczono nas w niej tego, co uważam za istotne. Po pierwsze, wtedy, gdy szedłem do liceum (a to był rok 1957), panowała wręcz psychoza, że należy się uczyć łaciny. Uczyłem się jej cztery lata i jestem z tego bardzo niezadowolony. To nie był przedmiot, który dałby mi wiedzę i rozszerzył horyzonty o starożytności (chociaż podobno to jest jego głównym zadaniem). Byłoby o wiele pożyteczniej, gdybym w tym czasie uczył się języka współczesnego. Łacina, jak uważam (niech mi wybaczą humaniści…), to kompletna strata czasu – w każdym razie w takiej postaci, z jaką ja miałem do czynienia. Podobnie przysposobienie wojskowe, które trwało trzy lata, oraz język rosyjski – a zwłaszcza sposób jego uczenia. Pomijam, że nie było entuzjazmu wokół tego przedmiotu, ale chodzi o coś zupełnie innego. Rosyjski w szkole to było niby zajmowanie się literaturą, niby uczenie się życiorysów pisarzy – ale nie było przy tym praktycznych rozmówek. Strata czasu!

Cieszę się, że jakieś dziesięć lat temu wróciłem do języka rosyjskiego. Kiedy teraz jadę do Rosji, mogę rozmawiać po rosyjsku i to jest przyjmowane

Antoni Wit w wieku trzech lat. Już jako mały chłopiec był bardzo zainteresowany muzyką. Potrafił wyciągnąć szufladę z komody, ułożyć ją na kolanach i udawać, że gra na akordeonie

Pierwsza Komunia Święta, 1954 r. Uroczystość odbyła się w kościele św. Floriana, przy placu Jana Matejki vis-à-vis szkoły podstawowej Antoniego Wita. W tym samym kościele w latach 1949–1951 posługę pełnił Karol Wojtyła

naprawdę bardzo pozytywnie. Zresztą na całym terenie dawnego Związku Radzieckiego jest to język bardzo przydatny. Na przykład na Litwie czy w Armenii, nie mówiąc o Ukrainie, najlepiej rozmawiać z muzykami właśnie po rosyjsku. A wracając do liceum: sposób uczenia niektórych przedmiotów i zakres wiedzy, jaki musieliśmy sobie przyswoić, był – moim zdaniem – zupełnym nieporozumieniem. O ile sobie przypominam, uczyłem się o szkielecie królika czy anatomii żaby. Właściwie nie jest to wiedza, która świadczy o ogólnym praktycznym wykształceniu.

Czy dzięki biologii nie jadał pan żabich udek z większą świadomością?

...Akurat za nimi nie przepadam, chociaż kuchnią francuską się fascynuję. Z lekcji biologii mam inne wspomnienie. Na jednych z pierwszych zajęć profesor roztrząsał zagadnienie: „Które organizmy zaliczamy do roślin, a które do zwierząt?". Zapytałem więc, jaka jest różnica między roślinami

a zwierzętami, a profesor przede wszystkim spytał mnie, jak się nazywam. Dalszej jego odpowiedzi nie pamiętam.

Jak długo uczył się pan gry na fortepianie w studiu pani Druszkiewiczowej?

Kilka lat. Gdy byłem tam w piątej klasie, mama skorzystała z możliwości przeniesienia mnie do Państwowej Szkoły Muzycznej przy ulicy Basztowej 23, która była bezpłatna. I tam, ponieważ przyjęto mnie jako zdolnego ucznia, dostałem się pod skrzydła nauczycielki bardzo znanej wtedy w Krakowie, Kazimiery Treterowej. Ona uczyła fortepianu. Chodziłem do niej na lekcje przez trzy lata. Ona dostrzegła, że nie jestem chyba zbyt pracowity, jeśli chodzi o fortepian. Wobec tego nie namawiała mnie, żebym się dalej kształcił jako pianista, i sugerowała, że może by mnie zainteresowały inne dziedziny muzyki. O dyrygowaniu (bo miałem bardzo dobry słuch) mówili inni życzliwi mi pedagodzy tej zasłużonej placówki, tacy jak choćby Antoni Wroński, Helena Życzyńska, Halina Kunzowa, którzy uważali, że stanowczo powinienem dalej się kształcić muzycznie.

Antoni Wit z siostrą i kuzynostwem na Rynku Głównym w Krakowie. Antoni Wit mieszkał w ścisłym centrum Krakowa, a Rynek był częstym miejscem rodzinnych spacerów

Okazało się, że w średniej szkole muzycznej istnieje wydział teorii. Zachęcono mnie, żebym tam zdawał, i rzeczywiście zdałem na teorię. Dyrektorem szkoły średniej był Juliusz Weber. To była interesująca i pozytywna postać. Pamiętam, że był na moim egzaminie wstępnym. Mam takie miłe wspomnienie: kiedy ukończyłem średnią szkołę muzyczną, to zwrócono mi wszystkie moje dokumenty i zobaczyłem, że na moim podaniu o przyjęcie dyrektor Weber napisał: „Wybitny". Widać musiałem się dać poznać z dobrej strony. Z sentymentem wspominam tych, którzy w czasach, kiedy byłem zwykłym młodzieńcem, jednak oceniali, że coś mogę w życiu osiągnąć.

Skąd zatem pomysł, by studiować prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim?

Kiedy w 1961 roku zdałem maturę w wieku siedemnastu lat, nie bardzo wiedziałem, kim chcę być. Miałem ukończony wówczas trzeci rok średniej szkoły muzycznej, która trwała pięć lat. Aby iść na studia muzyczne, musiałem mieć dyplom tej szkoły, czyli miałem jeszcze przed sobą dwa lata nauki. Tymczasem w liceum byłem bardzo dobrym uczniem. Na świadectwie maturalnym miałem same oceny bardzo dobre, czego – przyznam się – w dużym stopniu żałuję.

Dlaczego?

Ponieważ uczyłem się wielu rzeczy zbytecznych, a lepiej byłoby, gdybym ten czas poświęcił na uczenie się rzeczy pożytecznych. Ale pytanie, czy sam, niezobowiązany, uczyłbym się właśnie tych rzeczy, które byłyby pożyteczne? Czy nie zbijałbym bąków? Musiałby mną ktoś pokierować. Ponieważ w szkole byłem bardzo dobrym uczniem, a miałem stwierdzone zdolności do matematyki, bo ten przedmiot ogromnie mi się podobał, nauczyciele z liceum uważali, że powinienem iść na politechnikę. Wtedy, a był to początek lat sześćdziesiątych, studia na politechnice były uważane za koronę osiągnięć, coś, o czym marzy każdy człowiek. Przyznam się, że hasło „politechnika" nie działało na moją wyobraźnię i… bardzo dobrze. Nie mówiłem „nie", bo naprawdę nie wiedziałem, co chcę robić. Z pewną dozą zazdrości przeczytałem niedawno w programie jubileuszowym pewnego znanego dyrygenta, że decyzję o wyborze zawodu podjął w wieku lat trzech…

Antoni Wit – międzynarodowej sławy polski dyrygent. Ukończył z wyróżnieniem dyrygenturę w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Krakowie oraz prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim. Otrzymał liczne nagrody i odznaczenia zarówno w kraju, jak i zagranicą, w tym II nagrodę w prestiżowym Międzynarodowym Konkursie Dyrygenckim Herberta von Karajana w Berlinie Zachodnim. Sprawował funkcję dyrektora naczelnego lub artystycznego orkiestr krajowych i zagranicznych. Występował niemal na całym świecie, dyrygując m.in. Berliner Philharmoniker i BBC Symphony Orchestra. Dla znanych wytwórni nagrał ponad 250 płyt, których łączna sprzedaż przekroczyła 6 milionów egzemplarzy. Jest zapalonym cyklistą, wielką sympatią i podziwem darzy Japonię, do jego hobby należy też statystyka.

Dyrygowanie. Sprawa życia i śmierci jest fascynującą opowieścią światowej sławy dyrygenta o drodze z rodzinnego domu w Krakowie na estrady największych sal koncertowych świata. Antoni Wit mówi o swoim życiu i spotkaniach z 235 orkiestrami, którymi dyrygował na niemal wszystkich kontynentach. Swojej książki nie kieruje jednak tylko do melomanów, lecz także do osób, którym muzyka poważna wydaje się skomplikowana lub trudna. Dzięki tej lekturze stanie się ona przystępna i zrozumiała. Czytelnicy będą też mogli odkryć rolę dyrygenta – artysty we fraku, stojącego przed orkiestrą, który wraz z muzykami realizuje własną koncepcję utworu zapisanego w partyturze. Herbert von Karajan powiedział Antoniemu Witowi, że w dyrygowaniu muzyka jest najważniejsza. Maestro Wit to wie, a my dowiemy się o tym z tej książki.

Wiesław OCHMAN

Każdy, komu bliska jest muzyka klasyczna, z rozkoszą przeczyta te wspomnienia. Antoni Wit, jeden z najwybitniejszych polskich dyrygentów, opowiada o swoim życiu i twórczości tak, jakby dyrygował wspaniałą orkiestrą. Perfekcja i kultura, pamięć i rozmach, polot oraz poczucie humoru – to wszystko jest w tej książce. Maestro Antoni Wit zawsze ma znakomity kontakt ze słuchaczami, których miliony są na całym świecie, nawet na amerykańskim okręcie podwodnym (!). Teraz dołączą do nich czytelnicy. Dziękuję, Maestro!

Daniel PASSENT

Ta książka jest przewodniczką po artystycznej drodze człowieka sztuki. To historia o szczęśliwym znalezieniu swojego powołania już na początku życia i o wierności temu powołaniu po dziś dzień. Podziwiam Pana Antoniego Wita za konsekwencję, świadomość i spokój w tym absolutnym oddaniu się muzyce, za jego ogromną aktywność i dynamizm działań. Piękna opowieść o sztuce i piękny portret artysty wyłania się z tych rozmów, bardzo klarownie poprowadzonych przez dziennikarkę i krytyka, Agnieszkę Malatyńską-Stankiewicz, której znajomość „duszy artysty" i środowiska muzycznego jest imponująca.

Jerzy STUHR

---

dwójka POLSKIE RADIO

WWW.CZYTELNIK.PL

RÓWNIEŻ JAKO E-BOOK

ISBN 978-83-07-03499-7